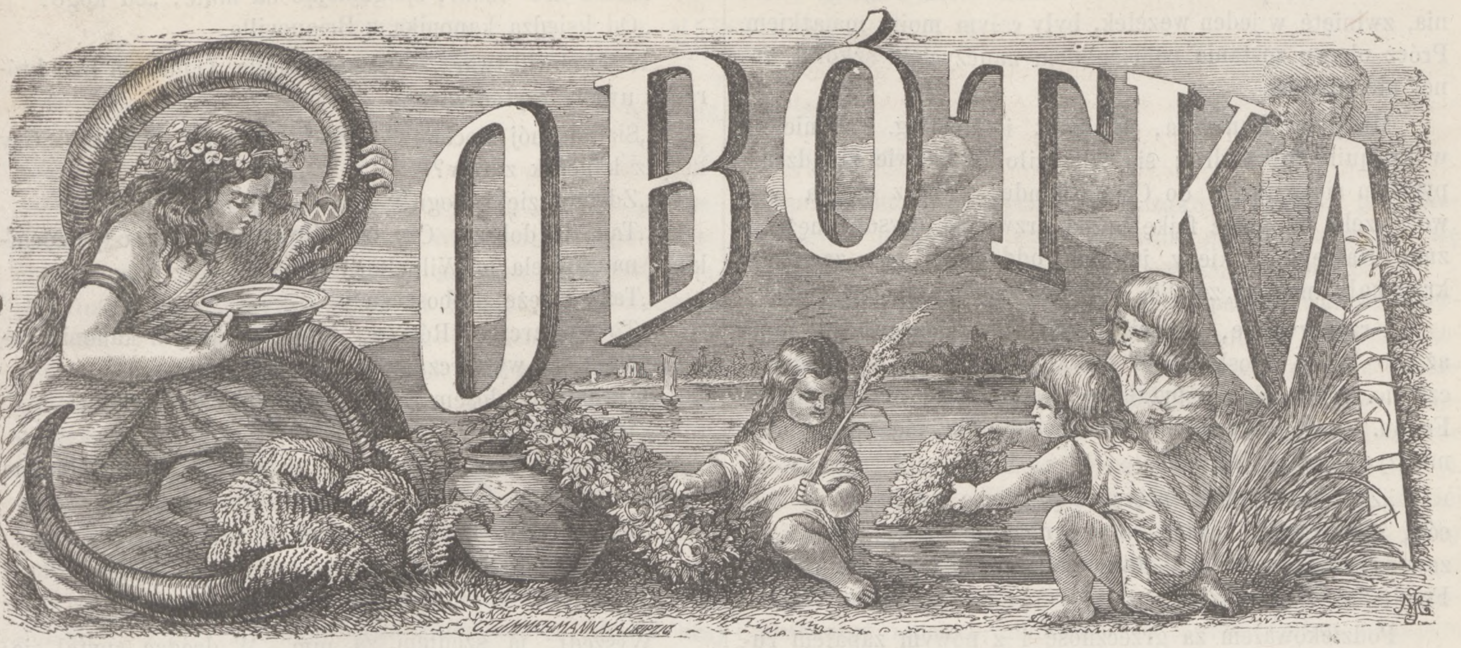
Nr. 39. Poznań, dnia 23. Września 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo $1^1/_2$ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

OD WYDAWNICTWA.

Z dniem pierwszym Października r. b. Sobótka rozpocznie czwarty kwartał trzeciego roku istnienia. Przypominamy naszym abonentom o odnowieniu prenumeraty, którą przyjmują wszystkie księgarnie i król. pruskie urzędy pocztowe.

HISTORYA
NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

Erckmann-Chatrian.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

I.

W roku 1816, mówił mi stary kupiec Renaud, pracowałem jako nadetatowy pomocnik u pana Benoit, woźnego w Lotaryngii. Ojciec mój był bryftregerem; miał pięcioro dzieci — dwóch chłopców i trzy dziewczynki — zarabiał na rok 400 franków tylko. Było to mało, bardzo mało, tak żeśmy z upragnieniem wyglądali dni, w których żołądki o prawa swoje dopominać się przestaną.

W czasie kiedy rozkaz króla Ludwika XVIII, zawierający polecenie ażeby w każdym kantonie uformował się komitet zachęty do nauk elementarnych, był ogłoszony, rozpocząłem rok siedmnasty i mimo to byłem jeszcze ciężarem rodzicom.

Od lat piędziesięciu rozporządzeń i cyrkularzy, tyczących się wychowania publicznego, nie brakło nigdy. Brak był tylko pieniędzy. Znajdowano zwykle skarby dla królów, cesarzy, książąt, ministrów, generałów i żołnierzy; ale dla oświaty ludu i dla wynagrodzenia nauczycieli, kasy próżne były.

W tych czasach ogólnego głodu, mały bochenek chleba kosztował 4 franki. Pan Benoit nie chciał mi nigdy dać jednego centyma, a ponieważ zapisujący się do szkół uwolnieni byli od służby wojskowéj, postanowiłem, nie widząc nic lepszego, zostać nauczycielem.

Była to myśl najnieszczęśliwsza, jaka kiedykolwiek przyjść mi do głowy mogła; zapisując się do wojska lub wstępując do magazynu na usługi gości, stokroć lepiejbym zrobił; ale w siedmnastym roku wszystko wydaje się w kolorach pięknych, i zawód więc nauczycielski wydawał mi się wtenczas najzaszczytniejszy ze wszystkich.

Otóż 13 Listopada 1816 r. zaopatrzony listem od księdza kanonika z Briqueville do proboszcza Bernarda w Chêne-Fendu, opuściłem Saint-Nicolas. Półtora franka w kieszeni,

dwie koszule, para trzewików i kilka sztuk różnego ubrania, zwinięte w jeden węzełek, były całym moim majątkiem. Prócz obawy zostania pomocnikiem nauczyciela szkółki, innéj nie miałem.

Minąłem Luneville, Blamont i Héming. Ponieważ w Lorquin kilka dróg się schodziło, w obawie zbłądzenia pytałem się o drogę do Chêne-Fendu. „Bierz się na prawo“, rzekł mi paląc fajkę przed drzwiami, wysoki mężczyzna. Następnie, kiedy już się oddalałem — „zaczekaj“ krzyknął, „możesz zmylić, wprowadzę cię więc na drogę.“

I rzeczywiście, poczciwy człeczyna doprowadził mnie aż do końca wioski. Był on kulawy i ospowaty nadzwyczajnie. Przez drogę pytał się w jakim celu idę do Chêne-Fendu. Odpowiedziałem, iż spodziewam się zostać tam nauczycielem.

„Zły stan“, rzekł potrząsając głową, „zły stan! Ale cóż, żyć trzeba. Patrz, oto droga do Saare. Bierz się zawsze na prawo. Za dwie godziny będziesz w Chêne-Fendu.“

Podziekowałem za grzeczność i z nowym zapałem ruszyłem daléj.

Powietrze było już chłodne. Wiatr jesienny zmiatał liście opadłe; pod drzewami tuląc się do rozłożonego ognia, siedziały grupki dzieci, strzegące bydło. To wszystko co sobie przypominam. Kiedy się chleba szuka, kraj najpiękniejszy niema w tenczas uroku; ciągle się myśli o smutnem położeniu.

Na miejsce przybyłem późno; noc zapadła, kilka światełek przebijało z poza mgły; była to wieś Saare-Rouge. Przy pierwszych domach spotkałem starą kobietę, pędzącą dwie kozy i spytałem jéj się o dom proboszcza.

„Oto tam“, rzekła, wskazując na prawo, w głębi uliczki, dom trochę większy, otoczony ogrodem i murem.

W téj chwili niepokój powrócił. Uliczkę minąłem i zatrzymałem się przy schodach, ażeby odetchnąć i zastanowić. Okienice były pozamykane, cichość panowała wszędzie; nieco daléj, na lewo, od strony rzeczki, we mgle, rozlegały się uderzenia kół młyńskich. Wszedłem na schody i otworzyłem drzwi. Na ten szmer wyszła służąca z lampą i spostrzegłszy mnie przestraszonego spytała:

„Czego żądasz?“

„Mam list do proboszcza.“

W téj saméj chwili ktoś z sąsiedniego pokoju krzyknął: „Niech wejdzie!“

Wszedłem do pokoju. Ksiądz proboszcz był przy wieczerzy. Był to mężczyzna około lat pięćdziesięciu, brunet, wysoki, z ostrym wyrazem twarzy.

W ręku trzymał gruszkę, przed nim stała, obok talerzy, szklanka wina.

„Masz list“ rzekł, spoglądając na mnie, „od kogo?“

„Od księdza kanonika z Briqueville.

W téj chwili twarz się jego zmieniła. Oddałem list, któren z uwagą czytać zaczął.

„Siadaj mój kochany“, rzekł czytając, „siadaj. Czy ksiądz kanonik zdrów?“

„Zdrów dzięki Bogu!“

„Tak, to dobrze. Czy chciałbyś więc zostać pomocnikiem nauczyciela p. Wilhelma?“

„Tak, księże proboszczu.“

„To wystarcza. Równo z tém, jak ksiądz kanonik rekomenduje, to wystarcza!“

I gromkim głosem zawołał na służącę: Justyna!

„Jestem!“

„Przygrzej kawę. Idę z tym panem do pana Wilhelma i zaraz wracam. Czy rozumiesz?“

„Rozumiem, księże proboszczu!“

Następnie wziął kapelusz trójgraniasty, mówiąc:

„Ruszaj!“

Wyszedł, ja szedłem za nim. W drodze spytał się: „Czy umiesz czytać, pisać i rachować?“

„Tak, księże proboszczu“, odpowiedziałem nieśmiało.

„A służbę kościelną czy znasz?“

„Nie bardzo dobrze, księże proboszczu, ale się nauczę.“

„To jest główne. Będziesz się musiał zaraz do tego zabrać.“

Doszliśmy do domu szkolnego. Była to stara budowla, z wielką salą na dole. Na górze było mieszkanie pana Wilhelma i pani Katarzyny, jego żony.

Ksiądz proboszcz wszedł na schody, a ja szedłem za nim. Otworzył drzwi i rzekł wchodząc: „Panie Wilhelmie, oto jest twój pomocnik. Ksiądz kanonik z Briqueville panu go przysyła. Będzie on ci użytecznym pod każdym względem.“

W chwili naszego wejścia, stary nauczyciel i jego żona, których przy wieczerzy składającéj się z kartofli i mléka słodkiego, znaleźliśmy, powstali. Ja, z tyłu za księdzem proboszczem, koło drzwi, z niepokojem oczekiwałem na odpowiedź; ale widocznem było, iż przedstawienie księdza, dla p. Wilhelma wszystko znaczyło. Wstał i nie patrząc na mnie rzekł pokornie:

„Ponieważ ksiądz proboszcz tego życzy...“

„Tak, on ci będzie pomocny; umie pisać i czytać, to wystarcza. Co do śpiewu, za młody jest, brak mu jeszcze głosu. Ale zresztą wszystko z niego zrobić potrafisz.“

„Katarzyno, podaj fotel księdzu proboszczowi“, zawołał stary nauczyciel.

„Nie, nie potrzeba, zaraz odchodzę. Przyszedłem ci tylko te kilka słów powiedzieć. Do widzenia.“

(C. d. n.)

Rozdział z tomu piątego

HISTORYI POWSTANIA NARODU POLSKIEGO 1861—1864*)

przez

Agatona Gillera.

Wypadki Lutowe.

Pod okiem Muchanowa miało się odbyć walne zgromadzenie Towarzystwa Rolniczego w Warszawie. Była mowa, że rząd nie zezwoli na tegoroczne zebranie; w końcu przecież inaczéj postanowił i dzień 21 Lutego (1861) przeznaczył na rozpoczęcie obrad. Zjazd był bardzo liczny. Ze wszystkich okolic przybywali do stolicy obywatele, tak członkowie Towarzystwa, których liczba w ubiegłym roku powiększyła się o sześćset osób, jak i nie należący do Towarzystwa. Prócz przedmiotów tyczących się roli i gospodarstwa, sprawa włościańska miała być wziętą pod obrady; sprawa najważniejsza, najbardziéj paląca, która od lat trzydziestu przez demokratyczną politykę narodu była przedstawianą jako kamień węgielny odbudowania niepodległości Polski, a któréj sprawiedliwego rozwiązania pożądał kraj cały. Ona to obiecywała uczynić tegoroczne posiedzenia bardzo ciekawemi. Żaden sejm nie był téż z większą niecierpliwością oczekiwany. Zgromadzenie rozprawiające o sprawie włościańskiéj w kraju, w którym żadne zebranie nie było przez lat wiele dozwalaném; obrady pod rządem, który rozmowę trzech ludzi prowadzoną w myśli oswobodzenia i uobywatelenia włościan, karał niedawno jako występek polityczny, musiały nabrać innego znaczenia, niż to, jakie mu jego ustawa rolnicza nadawała. Członkowie jego nie mieli mandatu, zgromadzenie nie miało mocy prawodawczéj, — a jednak wszyscy czuli, że opinia, która się tutaj wyrazi, poczytaną będzie za opinię kraju całego, a uchwały jakie zapadną, będą nosiły w sobie piętno woli ogólnéj, któréj rząd, bez uszczerbku dla siebie, nie będzie mógł pogwałcić na szkodę włościan.

Podobnie jak oczekiwanie, wielkiem było i parcie na Towarzystwo. Domagano się, ażeby przeszło po za linią przez rząd nakreśloną i w adresie przemówiło do cara, żądając polepszenia szkół, praw i instytucyi rządowych w duchu narodowym. Deputacya od młodzieży z uniwersytetów rosyjskich, z tém żądaniem wysłana, znajdowała się już w Warszawie. Wołano zewsząd, ażeby Towarzystwo sprawę polityczną narodu ujęło, żeby nią kierowało. Otoczono je zamiast mandatu pisanego, zaufaniem — i popychano na drogę, na któréj zamienićby się musiało na parlament narodowy, a z kwestyi płodozmianów przejść do obrad nad sposobami wywołania rewolucyi. Szczególne to stanowisko pełne uroku i niebezpieczeństw, było następstwem politycznego położenia Polski, nie zaś woli lub postanowienia samego Towarzystwa. Owszém, Komitet jego, złożony niewątpliwie z najrozumniejszych głów, jakie w tym czasie posiadała szlachta w Królestwie Polskiém, wiedząc o niemożności odegrania roli, jaką mu narzucano, opierał się parciu narodowemu, a niewychodząc z zakresu ustawy, podejmował tylko te sprawy, które się z nią godziły, trzymając się legalności jako deski, mającéj go ocalić od rozbicia.

Nastał dzień 21 Lutego. Sala pałacu Namiesnikowskiego przeznaczona na posiedzenie, pomimo nowych przepisów kancelaryi Gorczakowa, które miały na celu niedopuszczenie osób nie będących członkami Towarzystwa, przepełnioną była publicznością. Podniesienie zajęli członkowie Komitetu i delegowani od Towarzystw Rólniczych w Galicyi. Muchanów siadł w fotelu pomiędzy członkami, w bliskiéj odległości od mównicy i podniesienia. Twarz jego jakby nalana, była bladą, wejrzenie zimne, ponure, malowało chęci nieprzyjazne, pewność siebie i nieugiętość. Patrzał obojętnie lecz słuchał dokładnie. W Zgromadzeniu zebraném w czasie burzliwym, pod parciem opinii, która pobudzała do kroków nadzwyczajnych — obecność Muchanowa robiła wrażenie przestrogi i groźby, która ciężkiem brzemieniem padała na uczucia i wstrzymywała polot mówcom.

Prezes Zgromadzenia hr. Andrzej Zamojski, z niezmienionem obliczem, spokojny, głosem dobitnym lecz nie wymownėm zagaił posiedzenie. Mowa jego, w któréj ważyć musiał każde słowo, żeby nie powiedzieć nic takiego, do czegoby się mógł rząd trzymający obuch nad Towarzystwem przyczepić; a z drugiéj strony, żeby nie wzbudzić w niecierpliwych niezadowolnienie — zalecała jedność, umiarkowanie, wzywała do poświęceń i do wytrwałéj pracy w sprawie oczynszowania włościan, a resztę spraw, mianowicie sprawę polityczną narodu, powierzała czasowi, temu potężnemu „ministrowi Opatrzności“ w rządach ludzkich. Mowa ta powściągliwa, powiedziała jednak cały progromat Komitetu Towarzystwa, zawierała istotne wskazówki i określała granice, w jakich się trzymać zamierzał, a które już wówczas w obec dobitnie i silnie manifestującéj się opinii, wydać się musiały niedostatecznemi i ciasnemi.

„Koledzy kochani!“ mówił Zamojski. „Jedność i umiarkowanie od zawiązania się naszego, towarzyszące wszystkim pracom naszym i obradom, są najlepszą rękojmią, iż rząd i nadal popierać zechce rozwój tyle już pożytecznego dla kraju działania, a da Bóg czas „ów potężny minister Opatrzności, w sprawach ludzkich“ utrwali nasze istnienie! Nikt więcéj od nas nieczuje ważności naszego posłannictwa, zwłaszcza przy obecnéj sprawie oczynszowania włościan; obojętne z naszéj strony postąpienie, lekceważenie obowiązku, byłoby niepojęciem stanowiska obywatelskiego w naszym kraju. Ani też wątpię, że wszyscy zarówno ten obowiązek bierzemy do serca i potrzebę pospiechu uznajemy. Wspierajmy się więc wzajemnie czynem i radą, kochani koledzy! nie zrażajmy się trudnościami, owszem z najszczerszą usilnością pomagajmy téj sprawie, która oddawna rozpoczęta, o ile trafnie i szczęśliwie będzie załatwioną, prze-

*) Jest to rozdział z mającego wyjść w roku przyszłym piątego tomu „Historyi powstania.“ — Cztery pierwsze tomy, jak wiadomo, są już w obiegu księgarskim. (Przyp. Red.)

ważnie działając na przyszłą pomyślność drogiego nam kraju, znakomicie też podniesie obywatelskie usługi każdego członka naszego Towarzystwa. Do waszéj więc koledzy odwołuję się odwagi i wytrwałości; powątpiewanie bowiem, wahanie się, zrażenie, biorą czasem niektórzy za niepodobieństwo wykonania, za niemoc. Zawierzmy raczéj, że dla dusz szlachetnych, heroizm prawdziwém jest szczęściem... jest powinnością! Mówię heroizm, bo w téj sprawie, chociażby zrazu ofiary ponieść nam przyszło, godzić się na nie wypada; a ta zgoda w celu poczciwym serca nasze rozraduje, bo w obowiązku, w poświęceniu dla tego, co jest ukochane, wielki być musi wdzięk i urok, skoro ludzie wtedy, jakby boskiem opromienieni światłem, pociąg doń czują niczém nie powstrzymany, niepokonaną odwagę. Taką też odwagę, podniesiono do rzędu cnoty, gdy zbratana z roztropnością, sprawiedliwością i wstrzemięzliwością. A że to cnota, nadzieja nie omylna, że i w tém nawet życiu będzie za nią nagroda.

„W tém przekształceniu stósunków z włościanami, na pierwszém miejscu stanąc powinno nasze z nimi obchodzenie; nam bowiem, kochani koledzy, dziś należy oświecać lud o rzeczywistych jego korzyściach, wysoko ceniąc w nim i ożywiając wiarę, ufność w Bogu i moralność; brakowi u niego wiedzy i doświadczenia zaradzać wykładem nowego stanu rzeczy, chroniąc go przez to od zgubnego wpływu rozbudzonych w nim zachceń. Tym tylko sposobem zdołamy w ludzie wywołać samodzielność, opartą na własnem usiłowaniu i zasłudze, nie zaś na obcéj pomocy.

„Serdecznie witając przybyłych na nasze posiedzenia Szanownych delegatów Towarzystw Rólniczych krakowskiego i lwowskiego, otwieram dziś czwarte zebranie ogólne Towarzystwa Rólniczego; piękne mamy już tradycye, wiernie hołdować im powinniśmy; a żeby tegoroczne zebranie nowego dodało blasku naszéj instytucyi, niech jedność i wiara, jak zawsze, będzie naszem hasłem! Dziś Towarzystwo nasze przedstawia kraj, koledzy, na nas wielka cięży odpowiedzialność... sprostamy.

Od ogólnego zebrania rok temu, śmierć znowu przerzadziła szeregi; oby Bóg miłosierny wynagradzać raczył współpracowników naszych, których zawołał do siebie! a my zbierajmy zasługi kochani koledzy, aby i po nas pamięć zagrzewała następców i powtarzając owo: „justum atque tenacem propositi virum“ uważmy, jak po chrześciańsku wyraził się i Attykus: „żebyśmy nic takiego nie popełniali, przez co byśmy zasłużyli, aby być nieszczęśliwymi.“

Po skończonéj mowie prezesa, w któréj obecnych to uderzyło, że mówiąc o oczynszowaniu, ani jednem słowem nie wspomniał o uwłaszczeniu — zajęto się zaraz uorganizowaniem bióra i sekcyi. Na prezesów pięciu sekcyi wezwał Zamojski: do ogólnéj sekcyi Aleksandra Ostrowskiego, wiceprezesa towarzystwa; do sekcyi rolnéj, Dominika Rzeszotarskiego; do sekcyi leśnéj Wacława Popiela; do sekcyi inwentarza, Wiktora Lalewicza; do sekcyi administracyjnéj, Aleksandra Jackowskiego. Następnie, członkowie Komitetu odczytali sprawozdanie: Golz z czynności Towarzystwa za rok 1860; Fr. Węgliński z etatu przychodów i wydatków; Adolf Kurtz projekt zasad do naznaczania konkursów i przyznawania nagród Towarzystwa; Henryk Potocki zdanie sprawy z wniosków, jakie przez poprzednie zebranie ogólne do załatwienia Komitetowi polecone zostały.

Obrady wszystkich sekcyi, prócz ogólnéj, odbywały się w gmachu Towarzystwa Kredytowego. Przedmioty jakie tam rozbierano i uchwalano, przedstawiano potém na zgromadzeniu ogólném do przyjęcia. Jak wszystkie czynności Towarzystwa, odznaczały się także prace sekcyi gruntownością i dokładną znajomością rolnictwa; z powodu jednak swojéj specyalności zajmowały one tylko rolników; — publiczność zwróciła uwagę na posiedzenia sekcyi ogólnéj w pałacu namiestnikowskim, gdzie rozprawiano o oczynszowaniu i o uwłaszczeniu, a więc o reformie stosunków społecznych kraju. Jako cel tych obrad wskazał Ostrowski w swojéj przemowie, przyśpieszenie oczynszowania włościan; Franciciszek zaś Węgliński odczytał z wielką dokładnością wypracowany pogląd Komitetu na tę sprawę, który zamknął w czterech konkluzyach, i takowe zebraniu ogólnemu do przyjęcia przedstawił. Konkluzya pierwsza żądała, ażeby zebranie ogólne uznało pośpiech w oczynszowaniu za potrzebę kraju; druga, ażeby przyznało, że w dobrowolności umów widzi najwłaściwszą podstawę działania w przemianie stosunków włościańskich, dopóki nie będą wyczerpane wszelkie środki, w zakresie téj zasady leżące, obmyślenie zaś tych środków za obowiązek obywatelski poczytuje; trzecia żądała, ażeby zebranie objawiło życzenie przeprowadzenia skupu czynszu, za pośrednictwem właściwie obmyślanéj operacyi kredytowéj i doprowadzenia włościan po ich oczynszowaniu do własności nadanych im gruntów; czwarta wreszcie stanowiła, aby utworzenie funduszu gromadzkiego było stanowczo z wykupem złączone. Komitet więc uznawał za potrzebę kraju pośpiech w oczynszowaniu i w tém się różnił z opinią publiczną od wielu lat wyrobioną, która szybkie przeprowadzenie uwłaszczenia uważała za potrzebę Polski. Komitet nie był przeciwnikiem nadania gruntów włościanom, lecz chciał ażeby samodzielnie, własnemi usiłowaniami, popartemi przez dziedziców i prawo, doszli do własności. Dobrowolność umów, wykup i w ogóle środki wskazane przez Komitet, w czasach spokojnych, przy zapewnionym bycie politycznym mogły utworzyć warunki normalnego rozwoju, oparte na zasadach dobrze zrozumianéj ekonomii i nie sprzeczne z społeczną sprawiedliwością. Lecz w położeniu wyjątkowém, pod obcymi rządami, których interesem jest utrzymywanie waśni i niezgody w narodzie, droga umów i operacyi finansowéj przedstawiała niedogodności, jakie mogły rozwiązanie sprawy uwłaszczenia oddalić w odległe czasy i dać możność wyzyskania jéj na korzyść moskiewskiéj polityki. Jeżeli zaś rozważymy okoliczności, które powierzchnię narodu niespokojnie podnosić zaczynały, konkluzye Komitetu wydadzą się nam tém bardziéj nieodpowiedniemi czasowi. Komitet nie był na jego wysokości — nie rozumiał, że widok polityki narodowéj upominał się o natychmiastowe uwłaszczenie. Dobra polityka nie zawsze się zgadza z dobrą ekonomią, a rzadko jest zgodna z rozumną teoryą. Dobrą polityką w Komitecie było przygotowanie członków Towarzystwa do zrozumienia ważności wezwania, któreby natychmiastowe uwłaszczenie, chociażby się ono

miało odbyć przez darowanie gruntów chłopom, postawiło za obowiązek obywatelski. Gdyby towarzystwo kraj wyobrażające, zdobyło się na akt tak wielkiego poświęcenia, powstanie nie potrzebowałoby przykładać zbrojnéj dłoni do stanowczego rozwiązania kwestyi, bo ta byłaby już rozwiązaną w spokoju i miałaby dosyć czasu do wzmocnienia siły narodu; — i takim sposobem społeczeństwo polskie nie byłoby się stało polem dla doświadczeń komunistyczno carskich Milutyna i Sołowiewa, byłoby już albowiem wolne, lub też w razie nieszczęścia, przechodziłoby z mniejszą szkodą straszne cierpienia upadku. Uwłaszczenie leżące w zakretychmiastowe uwłaszczenie, które gdyby z cechą politycznéj, polskiéj myśli, przeprowadzić się inaczéj nie dało, jak przez darowanie włościańskich gruntów, wahać się nie należało. Komitet przeczuwał tę wielką potrzebę kraju, lecz stawiając wyżéj względy ekonomiczne niż polityczne, nie miał odwagi wykonania nadzwyczajnego, niebywałego aktu, o który się upominała konieczność dziejowa. Zawsze jednak za zasługę poczytać mu należy, że nie zostawił sprawy włościańskiéj na dawném stanowisku, ani téż jéj nie cofnął.

W obronie konkluzyi Komitetu występował podczas obrad, najzdolniejszy i najbystrzejszy z jego członków a przy-



Kościół katedralny w Wilnie.

sie dobréj woli każdego, odrazu, zanimby je prawnie zatwierdzono, stałoby się faktem, i dla tego nie mógłby się mu oprzeć rząd petersburski. Poświęcenie części majątku łatwiéj niż poświęcenie krwi, skłoniłoby go do koncesyjności; sprawa weszłaby na inną, mniéj zawodną, więcéj organiczną kolej i wysunęłaby się z pod kierownictwa niedoświadczonych przewodników. Komitetowi towarzystwa więc zarzucamy nie to, że nie chciał stanąć do manifestacyi, że się im opierał i nieskłonnym okazywał do podania adresu; ale zarzucamy stanowisko ściągające się w sprawie włościańskiéj; zarzucamy, że nie trafił na środki odbudowania zgody społecznéj. Zgodę zaś społeczną ustalić tylko mogło natém najlepszy mówca w towarzystwie. Franciszek Węgliński potęgą wymowy pociągał za sobą zgromadzenie, jak dobry sternik okrętem kierował niem w stronę, w którą zechciał. Walka z nim była trudną. Ile razy oblicze jego szczeropolskie i głowa siwizną pokryta podnosiła się po nad zgromadzonymi — tyle razy zwolennicy szybkiego uwłaszczenia tracili nadzieję przeprowadzenia swoich wniosków. Każdy argument w jego ustach nabierał mocy przekonywania — każde słowo padało jak uderzenie zręcznego szermierza — i, gdyby Węgliński z liczbą tylko mówców potykać się musiał, poglądy Komitetu różnostronnie krytykowane, zostałyby przyjęte przez zgromadzenie. Ale, Węgliński miał

nie tylko wielu przeciwników, znalazł on i takich którzy byli silniejszymi w rozumowaniu, sympatyczniejszymi w pojmowaniu społecznéj sprawiedliwości, a chociaż mniejszéj potęgi słowa, wymowniejszych wielkością zasady. Pomiędzy nimi odznaczał się szczególniéj Tomasz Potocki. Szanowano go dla zasług, jakie dla sprawy narodowéj położył i dla zacności charakteru. Na twarzy nosił zaszczytne blizny poniesione w obronie Ojczyzny w 1831 roku. Szczęka uszkodzona nie przeszkodziła mu zabierać głosu w sprawie, w któréj pod nazwiskiem Krzyżtopora wydał kilka dzieł, wybornie napisanych; bezwładność w nogach nie wstrzymała go od uczęszczania na posiedzenia, na które wnoszono go na ręku. Głos słodki, cichy lecz płynny, pełen był uczucia i miłości dla włościan, — tą miłością otrzymywał górę nad obrońcą propozycyi Komitetu. Pomiędzy innymi mówcami wyróżniali się jeszcze: Dyonizy Skarżyński, wieloletni więzień i wygnaniec syberyjski; Stanisław Psarski; Aleksander Kurtz; Mitelszted; Gruszecki; Aleksander Kłobukowski i inni.

Rozprawy w ogóle były żywe, gorące lecz umiarkowane. Muchanow nie zauważył ani jednego wypadku przekroczenia zakresu naznaczonego ustawą. Ta wstrzemięźliwość słowa obok palącego uczucia, jakie grało w duszach, czyniło te obrady dziwnie zajmującemi i poważnemi. Z jednéj i z drugiéj strony okazano w nich gruntowną znajomość przedmiotu i wielką miłość dobra publicznego. Z jednéj i z drugiéj strony występowały przekonania doświadczeniem i nauką poparte, a które ustępowały tylko pod parciem widoku politycznych korzyści dla Polski. Widok ten coraz bardziéj nachylał szalę na stronę i pożytek włościan i byłby może doprowadził do darowizny gruntów, gdyby mógł być dobitniéj wypowiedzianym. Jasnem to było z obrotu jaki opozycya nadała rozprawom i z ustępstw, jakie pomimo żarliwéj obrony robił jéj Komitet. Najuporczywiéj bronił swojéj trzeciéj konkluzyi, według któréj uwłaszczenie miało nastąpić dopiero po przeprowadzeniu oczynszowania, ale i w niéj ustąpił i zgodził się na wniosek Trzetrzewińskiego opuścić wyraz „po oczynszowaniu.“ Opozycya więc dopięła swego i przyspieszyła uwłaszczenie.

(C. d. n.)

SKROŃ DO GÓRY.

DO ALEKSANDRA K. W WARSZAWIE.

Skroń do góry! bracie ducha!
Nie w dół okiem — ale w nieba!
Bo nam jeszcze sił potrzeba
Do wielkiego wieków dzieła...
Bo nas przeszłość z grobów słucha —
Bo nas przyszłość młodych czeka —
Chce w nas widzieć arcydzieła
I boleści i człowieka!

Skroń do góry!... Choć zwątpienie,
Chociaż więzy łamią ciało,
Choć pod wielkim marzeń światem
Szkielet — krwawe nic — zostało...
Niech kwiat więdnie! niech kamienie
Łamią się jak świat omamień!...
Nie kamieniem my, nie kwiatem:
Duch nasz przetrwa kwiat i kamień.

Skroń do góry! A choć chmury
Na niebiosach twojéj duszy —
Choć się praca wieków kruszy —
Śmiało naprzód! walcz z niedolą!
Ty chcesz złamać mnie, boleści!
Więc ja ciebie złamię Wolą:
Precz odemnie żal niewieści!
Zmilknij serce! Skroń do góry!

Czy łót bólu czy cetnary,
Pierś je w sobie zmieścić musi:
Duśmy boleść gdy nas dusi:
I tak pójdziem w czas na mary!..
Rok czy lat dziesiątek więcéj,
Aby naprzód... Jest świat wtóry,
Nie krwią zlany — nie zwierzęcy —
To świat ducha!... Skroń do góry!

Drezno, 8 Kwietnia 1864.

Henryk Merzbach.

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

O świetle.

Światło jako łączące nas ze światem zewnętrznym, jest już z tego tylko względu, jednym z najpierwszych i najważniejszych czynników naszego życia.

Pomimo niewieściéj lekkości i pozornéj zmienności kokietki, światło jest siłą rzeczywistą i skomplikowaną, równie jak siła ciężkości i prochu armatniego. Jednocześnie jest ono cudownéj potęgi i nieporównanej łagodności. Nauka i poezya opiewa jego cuda. Jest to dar nieba największéj rozpowszechniony, a jednak ze wszystkich najmniéj znany.

Potęga jego widoczna i niezaprzeczona, rozciąga się od regionów najoddaleńszych przestrzeni nieskończonéj, od bladych gwiazd we mgle, aż do atmosfery kąpiącéj powierzchnię globu, aż do skromnego kwiatka polnego, który drżąc chyli się pod tchnieniem pieszczotliwem wschodzącego słońca. Światło jest jakoby mostem rzuconym między niebem i zie-

mią i jedynym węzłem łączącym nas z innemi światami. Ono rozrzuca urok jutrzenki migającéj się złotem i lazurem; ono cicho budzi naturę uśpioną i z ogni swoich rozlewa urodzajność na życie wszechświata; ono przędzie dla lubéj wiosny sukienkę przezroczystą, ono darzy lato złotem kłosiem, jesień owocem i zimie co chwila odnawia ze śniegu błyszczącego dziewiczą tunikę. Ono to daje kwiatom kielichy pachnące, podzwrotnikowym ptaszętom piórka błyszczące, a Ocean darzy lustrem przezroczystem.

Czyż to nie światło otacza aureolą miłości istotę ukochaną, którą młodzieniec w snach swoich widzi? czyż to nie ono ku czemu dziecię z kolebki jak milcząca roślina, rączki wyciąga? Czyż to nie ono w końcu, ku czemu starzec schodząc do grobu, ostatnie spojrzenie zwraca.

Piękność, potęga i miłość! z tych to rąk czarujących dobro wszystko płynie. Jeżeliby źródło światła ziemskiego bieg swój przerwało, brak słońca zniszczyłby ziemię i światy inne, i wkrótce potężne życie upadłoby jak trawka kosą podcięta. Cały system świata spocząłby w nocy nieskończonéj!

Nic więc dziwnego, że starożytne liry opiewały dobrodziejstwa i piękność tego źródła tajemniczego i że fizyka współczesna z zapałem rzuciła się do odkrycia jego tajemic.

Jeden z największych geniuszów wszystkich wieków, Newton, jest rzeczywistym twórcą nauki o świetle. Umiał on rozebrać i wykazać wszystkie elementa z którego ono się składa. Od czasu prac jego wiadomo jest, że promień światła białego, rozdzielony być może przez pryzmy na siedm kolorów głównych, idących w porządku następującym:

1) Fioletowy. 2) Indygo. 3) Niebieski. 4) Zielony. 5) Żółty. 6) Oranżowy. 7) Różowy.

Dowiódł on następnie, iż rozkład tych kolorów pochodzi z różnicy ich łamania się. Kolory przedmiotów na które patrzymy, nie są im właściwe; pochodzą one z promienia światła padającego na przedmioty, które część jego odbijają. Przesadą nie będzie, jeżeli powiemy, że pozorny kolor ciał różnych, jest ten właśnie, którego nie posiadają. Oto na przykład łąka zielona. Utrzymujecie iż kolor jéj jest zielony. Jednak tak nie jest w rzeczywistości; łąka ta, ponieważ wszystkie kolory zatrzymuje, a zielony odbija, posiada wszystkie oprócz zielonego.

Newton i jego uczniowie, sądzili że światło jest substancyą materyalną i fizycy chcąc rozjaśnić prawo refleksu, czyli odbicia, porównywali je z piłką elastyczną, która rzucona na ciało twarde, wraca napowrót. Dziś, my uważamy światło jako ruch prosty, tak samo jak ciepło i każda inna siła.

Światło jest poddane tym samym prawom refleksu, jak brat jego — ciepło. Wiadomem jest już, jakiéj ilości ruchu, odpowiada pewna ilość ciepła. I tak, ciepło potrzebne do wzniesienia temperatury wody o jeden stopień, odpowiada sile zdolnéj unieść 424 kilogramy na 1 metr wysokości i na odwrót, co się wyraża mówiąc, że ekwiwalent mechaniczny ciepła, jest 424 kilogrametrów. Ponieważ zawsze promienie ciepła, łączą się z promieniami światła, a rozłączenie ich, nadzwyczajne trudności przedstawia, z tego więc względu niezdecydowano jeszcze ekwiwalentu światła.

Światło jednakże wyrabia pewną czynność mechaniczną, któréj ocenienie siły jest możliwe. Znane jest chemiczne działanie światła na jod i na zasady fotograficzne; wiadomem jest także że ono wspomaga życie roślin, wlewając wnie przy pomocy pokrewieństwa chemicznego, węgiel. Jeżeli dwa kawałki sukna tego samego gatunku i téj saméj wielkości, lecz różnego koloro położymy na lodzie przeciw słońca, lód stopnieje wprzód pod kawałkiem sukna ciemniejszego. Jeżeli tenże sam lód położymy na wagach z otworami do spływania wody stopniałéj, to jaśniejsza część pójdzie na dół, a ciemniejsza w górę. Ale trudno jest rozdzielić czynność światła i ciepła; jeżeli wystawimy pod szkłem różowem i niebieskiem na działanie promieni słonecznych arkusz papieru saletrowanego, to część umieszczona pod szkłem niebieskiem w ciągu pięciu minut poczernieje a pod szkłem różowem w półtory godziny zaledwie. W tym wypadku samo światło działa. Następujące doświadczenie dozwala jeszcze dobitniéj oddzielić działanie światła. Jeżeli wazę zamkniętą napełnimy gazem wodorodnym i chlorem, atomy pozostaną bez żadnéj walki z sobą; ale jeżeli do téj mięszaniny przepuścimy promienie słoneczne, nagle dwaj nieprzyjaciele rozpoczną walkę zaciętą. Widocznem z tego jest, że światło i ciepło są dwoma różnemi czynnikami. Z kontrastu który się manifestuje na twarzy rólników i mieszkańców miasta; z kolorów sukien, zmieniających barwę na słońcu, każdy oceni łatwo różne wpływy tego, o czém mówimy.

Uważają światło jakoby ruch wywołany przez kołysanie się w cieczy napełniającéj przestrzeń. Kiedy się rzuci kamien na wodę spokojną, kołysanie się w kształcie koła idzie jedno po drugiem w okrąg punktu poruszonego. Tak samo się dzieje w powietrzu, kiedy łoskot daje się słyszeć. Tenże sam proces odbywa się i w przestrzeni, kiedy źródło świecące porusza części cieczy eterycznéj, która go otacza. Wyprowadzono z téj teoryi paradox ciekawy, t. j. łoskot połączony z łoskotem, może wydać spokój, i że światło dodane do światła może wydać ciemność.

Jeżeli, n. p. na powierzchni jeziora, kołysanie się następuje po sobie, i jeżeli wywołamy nowe, które będzie opóźniać się lub wyprzedzać pierwsze, powstanie z tego sprzeczność na chwilę niszcząca pozornie kołyszące się poruszenia. Można, po wydaniu tonu donośnego, wydać drugi w ten sposób, że słuchacze umieszczeni na linii w któréj falowanie powietrza się krzyżuje, nic, prócz spokoju zupełnego słyszeć nie będą.

Możemy podobnie, przy pomocy aparatu elektrycznego rzucić na ekran wielki promień światła, następnie drugi, który zgasi pierwszy.

Falowanie światła nie jest rzeczywiście falowaniem jego, tak jak n. p. na wodzie nie woda posuwa się, ale się poprostu fale poruszają. Jakimże sposobem umysł nasz to sobie rozjaśnia? Wibracye komunikujące się eterowi pod formą fal, wchodzą do źrenicy, przenikają kulę oczną aż do błonki siatkowéj, w któréj nerw optyczny oddaje całkowicie mózgowi.

To uderzenie fal na błonkę siatkową oka, jest takiem, jak uderzenia bałwanów morza o brzegi. Ale nerw optyczny wrażliwy jest tylko na pewną część promieni wyszłych ze źródła świecącego: są promienie niewidzialne dla nas. Prócz siedmiu kolorów, nic po wyżéj fioletowego i powyżéj różowego, nie rozróżniamy. Tylko promienie zawarte między temi dwoma kolorami, odpowiadają naszemu organizmowi i tylko one zdolne są w nas wywołać wrażenie światła; ale po wyżéj w obu kierunkach, wszystkie promienie są niewidzialne.

Powyżéj różowego koloru wydają one ciepło wyższe od wszystkich widzialnych promieni; powyżéj fioletowego, wydają czynności chemiczne. Jeżeli nasze oczy ich nie widzą, innym substancyom są one widzialne. N. p. umieśćmy w ciemności powyżéj fioletu arkusz papieru zmaczany w siarczanie chininy, a nagle odda on wspaniałe światło. I tak, nie tylko, że żyjemy w nieświadomości tego co się dzieje w ogromie stworzenia, ale nawet nie jesteśmy zdolni rozebrać procesu, jaki się odbywa w naszym małym świecie.

Kolory dla oczu są tém, czém są gamy dla ucha. Falowanie koloru różowego jest najwolniejsze i najdłuższe; fioletowego najszybsze i najkrótsze.

Światło przenika przestrzeń z szybkością 77,000 mil francuzkich, czyli 308,000 kilometrów na sekundę; licząc na centymetry wypada 30 miliardów 800 milionów na sekundę. Na rozciągłości jednego centymetra naliczono 16,666 fal koloru różowego. Mnożąc liczbę tę przez liczbę centymetrów które światło przebywa w jednéj sekundzie, wypadnie 497,774,193,548,548.

Wszystkie te fale koloru różowego w jednéj sekundzie wchodzą do oka. Podobny obrachunek zrobiono we wszystkich kolorach. Wrażenie fioletu jest spowodowane liczbą bardzo poważną, siedmset milionów milionów w jednéj sekundzie. Powyżéj fioletu promienie są w tonie nadto podniesionym a powyżéj koloru różowego w tonie nadto obniżonym, ażeby mogły być widziane. Być bardzo może iż są zwierzęta i rośliny które kolory te spostrzegają, tak jak są owady słyszące tony dla nas niesłyszane. Kolory niewidzialne, spełniają, tak jak i inne, swoje przeznaczenie. Nauka dziś upoważnia to twierdzić.

Że światło przebiega przestrzeń z szybkością 77,000 mil francuzkich na sekundę, jest to prawda wszystkim znana. Ciekawe jest jak po raz pierwszy spostrzeżono, że światło nie przelewa się bezustannie, według opinii w starożytności, z jednego miejsca na drugie, ale że do przebycia pewnéj przestrzeni, potrzebuje pewnego czasu.

W r. 1675, młody duński astronom Roemer przybywszy do Paryża, zauważał przy obserwacyach satelitów Jupitera, że czas powrotu z ich eklips, nigdy się nie zgadzał, z tabelą ich ruchu średnią. Miejcie na uwadze czytelnicy, że w koło Jupitera krążą cztery księżyce, tak jak nasz księżyc w koło ziemi.

Kiedy Jupiter znajdował się w punkcie najwięcéj zbliżonym do ziemi, chwila obserwowana eklips', wyprzedzała moment obrachowany. Kiedy zaś najwięcéj był oddalony, eklipsy były w opóźnieniu.

Roemer sądził, że te spóźnienia i wyprzedzenia pochodziły ztąd, iż my nie widzimy tych eklips w chwili ich się tworzenia, lecz że promień światła idący od Jupitera, potrzebuje do przebycia przestrzeni dzielącéj, pewnego czasu. Jasnem jest, iż mniéj potrzeba czasu kiedy będzie bliżéj, niż wtenczas kiedy będzie daléj. Późniéj starano się wymierzyć szybkość, według przestrzeni przebytéj.

I w ten to sposób stworzył się w astronomii rozdział noszący tytuł, szybkości światła.

W epoce odwołania edyktu nantejskiego, Roemer porówno z innymi protestanckimi uczonymi, był zmuszony opuścić Francyę i w ten sposób znakomite swe odkrycia przeniósł do Danii.

Fakt najoryginalniejszy, wypływający z odkrycia szybkości światła jest ten, iż wszystko co astronomowie widzą na firmamencie, nie jest w rzeczywistym swoim stanie. Gwiazdy nam są znane tylko przez światło od nich bijące, o to światło dochodzi do nas po pewnym dopiero przeciągu czasu. W świecie naszego słonecznego systematu, różnica jest mała, ponieważ promień pochodzący od słońca potrzebuje 8 minut i 13 sekund, od Neptuna ostatniego planety systematu, 4 godziny tylko.

Ale od gwiazd nawet najbliższych, różnica jest znaczna. Od niektórych, promienie do przebycia przestrzeni dzielącéj, potrzebują 3 lat i 8 miesięcy. Od innych 21 i 26 lat, a od gwiazdy polarnéj pół wieku, od Capelli 72 lat. Tę gwiazdę ostatnią n. p. widzimy nie taką jaką dziś jest, ale taką jaką była w chwili kiedy kuryer promienny wyruszył, przynosząc nam jéj fotografię. Jeżeli jesteśmy n. p. w r. 1865, widzimy ją taką jaką była w r. 1793.

Jeżelibyśmy mogli przypuścić, że starzec który umarł w r. 1865, znalazł się nagle przeniesiony na tę gwiazdę i że z niéj widzi powierzchnię ziemi, toby znaczyło iż widziałby Europę z r. 1793. Imaginacya opierając się na tym fakcie fizycznym, mogłaby tworzyć skombinowane powieści. Ów starzec n. p. widziałby Polskę, strony rodzinne — i siebie samego! — w tym stanie w jakim się znajdował w chwili, kiedy promień światła ztamtąd wyszedł.

Ale wstrzymajmy fantazyę naszą, któréj skrzydła drżą niecierpliwe do lotu w światy jasności i sformułujmy to cośmy dotąd powiedzieli. Są światy od których promienie przybywają do nas po odbyciu drogi przez tysiące lat. Opierając się na tém, prawdopodobném jest, iż jeżeli wśród czystéj i spokojnéj nocy wysilamy wzrok nasz by rozpoznać blask, poruszenia i zmienność kolorów światów oddalonych — mówimy prawdopodobném jest, iż te światy już nie istnieją od tysiąca wieków. (Dokończ. nast.)

Gry hazardowne, loterye, giełda i spekulacye giełdowe.

(Ciąg dalszy.)

Nie mam wcale zamiaru udzielać lekcyi spekulacyi giełdowéj, która dziś jest na dobie, do tego stopnia, że się i u nas, w narodzie najmniéj spekulacyjnym, wcisnął zwyczaj mówić o „kursach“ nawet w towarzystwach, na balach, gdzie dawniéj podobna rozmowa nie byłaby się mogła toczyć bez obrazy dobrego tonu.

Niezbyt to dawno słyszałem dwóch młodych w cukierni rozmawiających o kursie rumunów, seryach rosyjskich, waluty austryackiéj, akcyi kolei rozmaitych nazwisk i t. d., z tak nieudanym zapałem, jakoby spekulacya była zadaniem ich życia, jakoby ona była najwyższym szczeblem nauki i moralności, jakoby od takiéj spekulacyi zależało zbawienie kraju i całéj ludzkości. A byli to młodzieńcy, których świeże twarze kazały wnosić iż od wczoraj dopiero weszli na arenę życia i że zatém dusze ich są jeszcze wolne od szalonéj namiętności spekulacyi pieniężnych.

Z przyczyny wkradającéj się i do naszych rubryk życia nowéj manii spekulacyi giełdowéj, która niczém innem nie jest jak grą hazardowną, a która dla niewtajemniczonych jest tém niebezpieczniejsza, iż ma wszelkie pozory prawowitości, postanowiłem dać jéj krótki obraz.

Wstąpmy do gmachu giełdy pierwszego lepszego wielkiego miasta, n. p. Berlina, gdyż ruch, życie, działalność ludzi w gmachu giełdy gromadzących się wszędzie jeden obraz przedstawiają.

Nie widzę potrzeby opisywania zewnętrznego obrazu gmachu, to tylko dodać mogę że i tu spekulacya potrafiła pięknemi formami wabić i zachęcać do siebie.

Czytelnik zapewne zna szum i szmer w ulu, mianowicie gdy pszczoły są czémś niezwykłém zajęte. Ale pszczoły pracują i pszczoły całém swém jestestwem fizyczném i umysłowém (o ile umysł w nich jest rozwinięty), zajmują się swą pracą, która choć nie dla ludzi przedsięwzięta, jednak ludziom korzyść przynosi.

I w gmachu giełdy szmer, szum, hałas na wzór ula tak jest wielki, że człowiek jednego słowa uchwycić nie może, a w dniu likwidacyi zwykle między 1 a 5 każdego miesiąca przypadającéj, z przyczyny zawiedzionych nadziei słyszeć się dają krzyki rospaczy i jęk boleści.

Nie ulega kwestyi, że sprzedawanie i kupowanie tak publicznych papierów jako i płodów rolniczych i rolniczo-przemysłowych, jest akcyą najlegalniejszą, najregularniejszą, jeśli rzeczy mające się sprzedawać zaraz oddają w ręce meklerów, bez których nic na giełdzie ani się nie sprzedaje, ani téż kupuje. Tu interes jest prosty i jasny. Inaczéj jest jednak przy t. z. „kupnie na czas“; tu już przebieg jest inny zupełnie. Oto przykład następujący: Spotyka się pan *A*, z panem *B*, z których pierwszy jest wytrawnym spekulantem, drugi nowicyuszem. Między nimi zawiązuje się następująca rozmowa.

A. Renta stoi dziś wysoko; ona koniecznie pod koniec przyszłego miesiąca obniżyć się musi.

B. Ja przeciwnie sądzę; ona jeszcze pójdzie w górę i wcale bym się nie zdziwił, gdyby doszła do al pari.

A. Gdybym miał renty, sprzedałbym je podług dzisiejszego kursu po 90 franków.

B. Gdybym miał pieniądze, nie wahałbym się kupić rentę podług tego kursu i byłbym pewny, że pieniądze moje byłyby dobrze umieszczone.

A. Pan byś zrobił bardzo złą spekulacyę.

B. Jestem przekonany, że zrobiłbym najlepszą.

A. Kiedy tak, każdy z nas jest przekonany, że zdanie jego jest dobre, toć możemy zawrzeć umowę, zrobić interes, który będzie korzystnym dla tego, którego konjunktura na końcu przyszłego miesiąca się zrealizuje.

B. Jakim sposobem? Wszakże Pan nie masz renty do sprzedania, a z moim małym kapitałem nie mógłbym nawet zapłacić renty na 500 fr.

A. To wcale nie szkodzi. Posiadamy dosyć abyśmy mogli sprzedać 10,000 fr. nie potrzebując takowych składać.

B. Pojmuję, że w takim razie jeden z nas może grać rolę sprzedającego, drugi rolę kupującego, bez wszelkiego ryzyka; lecz nie pojmuję jaka ztąd może być korzyść dla któregokolwiek z nas przy takim interesie bez podstawy.

A. Założymy się, Pan na to, że renta pod koniec przyszłego miesiąca pójdzie w górę, ja, że spadnie.

B. Ależ Pan powiedziałeś, że mi chcesz sprzedać 10,000 fr.

A. Tak jest; ja Panu tę sumę sprzedaję, lecz w istocie to tylko będzie gra, zakład.

B. Objaśnij mnie Pan!

A. Zawrzemy podwójną umowę o kupno za pośrednictwem dwóch agentów giełdowych. Za ich pośrednictwem sprzedaję Panu 20,000 fr. po kursie 90 pr., obowiązując się dostawić tę sumę pod koniec przyszłego miesiącą za 180,000 fr. Pan ze swojéj strony obowiązujesz się tę sumę renty za umówioną cenę przyjąć i w czasie dostawy zapłacić.

B. Tym sposobem podpisalibyśmy zobowiązania, których żaden z nas nie mógłby dotrzymać.

A. To wszystko tylko formalność. Pokażę Panu ile jest rzeczywistości w téj operacyi. Gdyby n. p. renta do dnia, w którym jestem zobowiązany takową wręczyć Panu, spadła o 4 fr., uwalniam Pana od obowiązku przyjęcia takowéj, jeśli mi Pan wypłacisz zysk jaki bym miał, gdybym ją po 86 fr. kupił, aby ją Panu oddać za 90 fr., t. j. Pan staniesz się moim dłużnikiem za dyferencyę w wysokości 1 franka za 5 fr. renty, czyli za ogólną sumę 2000 fr. Gdyby się tymczasem pokazało, że Pan lepiéj kalkulował niżeli ja, że zatem kurs renty do oznaczonego terminu o frank się podniesie, Pan ze swojéj strony uwolnisz mnie także od dostawy całéj sumy po 90 fr., którebym ja za 91 fr. kupować musiał, a ja Panu wypłacę dyferencyę 2000 fr., które Pan, nie wydając za nie grosza, zyskujesz. To nazywa się: „kupnem na czas.“

B. Ale to nazwanie nie jest właściwe dla takiego interesu, w którym ja tylko widzę grę bez stawki, zakład, przy którym obie strony muszą być przygotowane do przegrania, nie mogąc wcale naprzód obliczyć jaka będzie strata. Gdyby bowiem zmiana kursu zamiast 1 fr., 10 fr. wynosiła, cóżby wtenczas nastąpiło?

A. W takim razie jeden z nas drugiemu musiałby 20,000 fr. wypłacić.

B. Ten interes mógłby zatem jednego z nas zrujnować.

A. Albo też jednego z nas zbogacić.

B. Na takie niebezpieczeństwo narazić się niechcę. Grając muszę wiedzieć, ile stawiam, ile zatém przegrać mogę. Zakład wprawdzie zawsze się tyczy niewiadomego przedmiotu, mimo to muszę naprzód wiedzieć ile mogę wygrać, ile przegrać, a gdyby prawo na to pozwoliło, stawiłbym raczéj 10,000 fr. na to, że renta pójdzie w górę, niżelibym na niepewne przyjął obowiązek zapłacić choćby tę samą sumę, będąc w niebezpieczeństwie ponosić stratę całego podniesienia się lub spadania.

A. Lecz Pan wiesz, że gra i zakłady są prawem zakazane.

B. W takim razie powiada mi rozum, że to, co Pan nazywasz „kupnem na czas“ również jest zakazanem, gdyż to tylko jest ukrytym zakładem, jak sam powiadasz. Z resztą wszystko mi jedno, czy prawo zabrania lub nie, nigdybym w tak hazardowną grę nie grał.

Rzadko ludzie tyle mają rozumu co nasz Pan *B.*, a to może wyłącznie dla tego, że jeszcze rzadziéj znajdzie się spekulant tyle otwarty i szczery jak Pan *A.*

Nieszczęśliwy ten kapitalista, który z takimi ludźmi się zetknie, którzy formalnie wchód do giełdy oblegają, aby niedoświadczonego lub nieostrożnego wciągnąć w przepaść. Z początku zaproponują mu oni kilka interesów, które jego delikatności wcale nie obrażają i wzamian przynoszą odpowiednie korzyści. Lecz wkrótce znaczniejsza operacya ma w rezultacie dotkliwszą stratę; trzeba ją powetować, kompensować pod koniec miesiąca. Nowicyusz tego języka nie rozumie. Swoim podpisem aktu kupna lub sprzedaży zobowiązał się on do udziału w interesach, których doniosłości wcale nie zna i obliczyć nie może, aż w końcu ze wszech stron na niego napadają o zapłacenie „dyferencyi“, różnicy. Zbyt późno najczęściéj otwierają się mu oczy i jeszcze powinien się cieszyć, jeśli ci, co go zrujnowali majątkowo, nie ogłoszą za człowieka bez czci i wiary.

Dziwić się należy, że spekulacye tego rodzaju tak często się zdarzają między ludźmi, z których jeden nic nie ma do stracenia, choć drugi jest w stanie zapłacić większą lub mniejszą różnicę, pochodzącą z nieszczęśliwego przypadku.

Przyczyną tego jest to, że się gracze zwykle nie znają, nie mając bezpośrednio nic z sobą do czynienia. Interes odrabiają pośrednicy, którzy każdemu dają zaręczenie, że spekulacya jest pewna. Operacye zwykle na giełdzie w następujący sposób się odbywają.

Każdy z grających podpisuje umowę z agentem giełdowym do sprzedaży lub kupna na czas pewnéj sumy, za pewną cenę, we formie wyżéj wskazanéj, z tą atoli różnicą, że agent pisze, iż interes ten robi w imieniu i z polecenia swego mocodawcy. W terminie znów zjawia się on sam u mocodawcy i z nim stratę lub korzyść oblicza, oraz różnicę wypłaca lub płacić sobie każe.

Z tego co tu powiedziałem, każdy może się dostatecznie przekonać o wartości „kupna na czas.“ Nie chcę więcéj przytaczać przykładów, bo wszyskie są do siebie przy tym rodzaju spekulacyi podobne, koniec ich zawsze jeden; forma tylko może być odmienna. Tu tylko powiedzieć muszę, że ten rodzaj spekulacyi zwanej „marchés libres“ albo „à prime“, którą to formę jeszcze objaśnić muszę.

Operacya przy sprzedawaniu i kupnie papierów, których żadna strona nie posiada i posiadać nie chce, à prime jest następująca:

Spekulant sądzi, że renta w przeciągu miesiąca znacznie pójdzie w górę. Obiecując sobie znaczny zysk, chce jednak być pewnym, że wiele stracić nie może, gdyby papiery spadły.

Szuka więc spekulanta grającego na zniżenie kursu tych papierów i żąda od niego aby mu pewną sumę na końcu miesiąca sprzedał à prime. Umowa się podpisuje podług kursu 90 fr. z dodatkiem „dont un“ t. j. z których kupujący 1 procent oznaczonego kursu natychmiast gotówką płaci.

Na czas umówiony, jeśli kurs o 2 lub 3 procenta poszedł w górę, kupujący żąda różnicy i strata sprzedającego o tyle jest mniejsza, ile premia naprzód zapłacona wynosi. Jeśli zaś kurs się nie zmienił, jaki był przyjęty, to w takim razie o różnicy już nie ma mowy, a premię naprzód zapłaconą wygrał sprzedający. Jeśli zaś renta spadła, to w takim razie kupujący, który na podniesienie się kursu spekulował, nie ma już obowiązku do płacenia, tylko traci zapłaconą premię.

Kupno na czas i kupno à prime mają jeden charakter wspólny, gry hazardownéj. Kupno i sprzedaż w obydwóch przypadkach są zmyślone. Są to zakłady, a zewnętrzna forma nie zmienia ich natury.

Ponieważ dotąd prawa nie zabraniają spekulacyi wyżéj opisanego rodzaju a my nie prawnicy, którzyby mogli za i przeciw z całą prawną ścisłością rozbierać, zobaczemy raczéj jaką one mają wartość moralną i narodowo-społeczną. (C. d. n.)

KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W WILNIE.

(Z ryciną.)

Kościół katedralny wileński, przez Władysława Jagiełłę założony, a przez Bodzantę, arcybiskupa gnieźnieńskiego, poświęcony, pierwszym biskupem swoim miał Andrzeja Vasilo; Urban VI bullą go swoją mianował. Dzisiejszy kościół przerobiony z dawnego, a raczéj całkiem na nowo wzniesiony, ogromnym i wspaniałym jest gmachem. Daje on prawo do sławy budowniczemu swemu p. Gucewiczowi; miał on wielkie myśli, widać że pozostałe wzory pysznych greckich i rzymskich budowli znajoméni mu były. Dawny kościół obrócony jest w średnią nawę, przybudowano do niéj dwie poboczne; te, przedzielone ogromnemi doryckiemi pilastrami, dwanaście kaplic składają. Przysionek na podobnegoż kształtu wsparty jest kolumnach; czoło zdobi wypukła rzeźba nie bardzo poprawnego rysunku. Na szczycie onego stoi posąg religii i dwa inne olbrzymiéj i zbytecznéj wielkości; we framugach podobnież kolosalne figury. Wnętrze świątyni odpowiada wspaniałości powierzchniéj; wielki ołtarz daleko oddalony od muru, duży krzyż złoty i święte naczynia stoją na nim. Z tyłu dopiero drugi ołtarz, na nim obraz Ś. Stanisława, w chwili gdy cios śmiertelny Bolesława już ma go ugodzić. Obraz ten, równie jak i inne obrazy w tym kościele, jest pędzla Smuglewicza. Najtrafniéj podobno o tym artyście powiedziećcy można, że to jest chybiony wielki malarz. Jakoż, w obrazach jego, obok wielkich piękności, z żalem oko wielkie wady, w rysunku zwłaszcza, odkrywa. Ani się dziwić należy; wiadomo, że artysta ten nadto sobie ufał, nigdy się nie radził natury, komponował i rysował z pamięci.

Kaplica Ś. Kazimierza, przez Zygmunta III zaczęta, przez Władysława IV skończona, nie tkniętą była w przeistoczeniu świątyni téj. Trumna świętego ze szczerego srebra; malowania Dolabelli po bokach, godne byłyby wyrycia na miedzi. Więcéj mię jeszcze obchodził grób Witołda, wystawiony, jak świadczy Kojałowicz, przez królowę Bonę. Szukałem go wszędy; aż w jednéj z kaplic, po prawéj ręce od wnijścia, spostrzegłem ogromną flizę z ciemno czerwonego szwedzkiego marmuru, na niéj rycerz w zbroi trzymający rozwijającą się chorągiew. Ogromna postać, twarz, w któréj się i męztwo i srogość zarazem malują, obwisłe uszy, zuchwałe spojrzenie, zdają się zgadzać z tym charakterem Witołda, w jakim go nam dzieje skreśliły; u nóg jest herb wyrznięty, wyrażający Centaura strzelającego do węża, litera W, dwa księżyce i jeszcze płomieniste zwierze. Był to herb noszony przez Witołda na tarczy, a niewątpliwie herb dawnych książąt litewskich, nim pogoń przyjęli. Stryjkowski, mówiąc o wielkim księciu litewskim Zywibundzie z rodu Dorszprungów, tak się tłumaczy: „Herb Kitaurus, z przodków miał, pół konia, pół męża, a z ogromnego łuku strzałą mierzy w węża.“ Ten to właśnie Centaur i wąż znajdują się na grobowcu, o którym mówię, i oczywiście dowodzą, że grób ten jest Witołda. Godzien był zaiste wódz ten wiekopomnéj Litwinów wdzięczności: któż daléj granice ich rozpostarł, któż bardziéj uświetnił ich oręż? W Giedymina i Olgierda wstępując ślady, niezmierne ich podbicia za Psków i Nowogród posunął, przeszedł za Wołgę, gdzie dotąd pamiątki jego, pod imieniem Łaźni witołdowych trwają. Do niego uciekali się carowie zawołgscy; on to hana ich Tochtamisza okazale w Wilnie przyjąwszy, szłyk kosztownemi kamieniami i perłami sadzony na głowę mu włożył i za Wołgą panować rozkazał. Lubo Jagiełło panował nad Litwą, on jednak rządził nią udzielnie; dochody jéj, bardziéj jeszcze łupiezkie wojny, uczyniły go jednym z najbogatszych monarchów na świecie. Bogactw tych umiał hojnie używać. Z jakąż wspaniałością przyjmował zebranych na zjeździe w Łucku monarchów, jak kosztowne rozdawał im dary! Gdy się Warneńczyk urodził, Witołd, jako chrzestny ojciec, podarował mu kolebkę ze szczerego srebra ulaną. Z jakąż królewską pompą przyjmował Władysława Jagiełłę, ilekroć ten odwiedził go w Wilnie. W roku 1415, podejmując przez wiele dni z największą okazałością, przy wyjeździe, oprócz innych kosztownych darów, dał królowi 20,000 grzywien srebra, 100 dzielnych koni, 40 szub sobolich i 100 sukien ze złotogłowia perskiego.

W grobowcu tym Witołda, rzeźba, styl, podobne są bardzo do tych, które w czasach królowéj Bony rznięte były w Krakowie. Lubo wiemy z dziejów, iż król Aleksander umarł i pochowany był w Wilnie, grobu atoli jego ani znaleść, ani dopytać się nie mogłem. W kościele fundowanym przez niego, księży Dominikanów, jest tylko portret króla tego i jego spowiednika, lecz widocznie malowane w późniejszych czasach. Gdy groby możnych królów, przed trzema wiekami zmarłych tak prędko, tak łatwo idą w zapomnienie, któż sobie trwałą pamięć obiecywać będzie?

Szkoda, że w przeistoczeniu katedry dzisiejszéj, nie miano większego starania o zachowanie i uporządkowanie dawnych pamiątek i nagrobków. Zachowano ich wiele, lecz te na nieszczęście powprawiane są w pilastry lub mury. Pierwsza katedra w Litwie nie ma jeszcze pasterza swego. Lubo dochody jego to na akademią, to na inne przedmioty są obrócone, zostało jednak dosyć do dostojnego utrzymania się. Kapituła liczna i dobrze uposażona; nabożeństwo, niedawno jeszcze, z przyzwoitą odprawiało się okazałością.

Dziś wszystko w upadku. Moskale z barbarzyńskim zapałem niszczą wszystko co dawną przypomina świetność. Nieoszczędzają nawet przybytków bożych, gdzie dziś swój język i obrządki swoje zaprowadzić usiłują. Czy pod tą przemocą ostoi się do lepszych czasów kościół i miłość dla Polski? Miejmy nadzieję!

Szarada.

O trzeciem piątém panien myślą ludzie młodzi,
Jak drugie czwarte piąte od wieków powtarza;
Pierwsza czwarta z pod pióra poety wychodzi,
A wszystko jest zadaniem powieściopisarza.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 37: *Gramatyka.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Amborskiemu we Lwowie: List otrzymaliśmy i na łaskawie obiecane dwa życiorysy niecierpliwie oczekujemy. — Panu Dr. K. w Inowrocławiu: Zapewne Pan mieć musi duplikat manuskryptu „O soli". Prosimy o nadesłanie nam takowego. — Panu Sewerynowi K. w Kościanie: Nie do użycia, manuskrypt zniszczyliśmy.

Zbiór powieści J. I. Kraszewskiego.

Pisarze znakomici, żyjący wśród narodów, które umieją czcić talent, pracę rzetelną i zasługę prawdziwą, mają prawo żądać, aby jeszcze za ich życia społeczeństwo zajęło się zbiorowem wydaniem wszystkich ich utworów. Podobne edycye są z jednéj strony hołdem moralnym, złożonym tym, którzy dla braci swoich pracują bez wytchnienia w ciernistym zawodzie literackim, a z drugiéj strony skarbem dla pokolenia umiejącego czuć i myśleć. Anglicy, Niemcy i Francuzi, przodujący w całym ruchu umysłowym, zaczęli w ostatnich czasach ogłaszać zbiorowe wydania dzieł wszystkich znakomitych autorów współczesnych, a przyjęcie, jakiego te edycye doczekały się w publiczności, świadczy najlepiéj o właściwości tego pomysłu. Czytelnicy zrozumieli tam, że wydania dokonywane pod okiem autorów żyjących, mają niezaprzeczoną wyższość przed pośmiertnemi, pisarz bowiem może swoje dzieła przejrzeć, poprawić i uporządkować. Chcąc i u nas dać w tym względzie przykład dobry i innych zachęcić, *rozpoczynamy z dniem 1 Października r. 1871 zupełną i tanią edycyę powieści najznakamitszego naszego powieściopisarza Józefa Ignacego Kraszewskiego. Będzie to wydanie przejrzane, poprawione, uporządkowane przez Autora i ozdobione jego portretem.*

Z rokiem 1871, upływa *właśnie lat 40*, odkąd imie J. I. Kraszewskiego stało się własnością kraju całego. Żaden z naszych powieściopisarzy nie poszczycił się takim rozgłosem i wzięciem, bo też i zasługi żadnego nie były tak wielkie. Podczas gdy wielu z nich pisało li dla sztuki, a niektórzy ośmielali się nawet pod ponętną formą zewnętrzną lać w serca truciznę moralną, J. I. Kraszewski nie opuścił ani na chwilę sztandaru moralności narodowéj i od lat 40 zasiewa zdrowe ziarna uczuć i myśli. Kto nauczył nas czytać po polsku? kto wychował całe pokolenie teraźniejsze? Kraszewski... Nie jest to pochwała, ale naga prawda, którą przyznali nie tylko polscy krytycy, ale i zagraniczni.

Pod względem sztuki J. I. Kraszewski dopełnił także wszystkich warunków. Maluje on charaktery z siłą mistrzowską, naciągniętych sytuacyi nie znajdziemy w nim nigdzie, a styl jego będzie dla nas zawsze wzorem jędrności, wdzięku i poprawności. Najlepszym dowodem jak znakomite są jego powieści, jest to, że większa ich połowa została przełożona na języki: rosyjski, czeski, serbski — a wiele nawet na francuzki, włoski i holenderski. Żaden powieściopisarz polski nie doczekał się za granicą takiego przyjęcia.

Główna siła i zasługa J. I. Kraszewskiego polega w tém, że w pracach swoich był jak najmniéj sobą, starając się przedewszystkiem odbić, odczuć i przedstawić to co go otaczało i być sumiennym historykiem swego kraju. Nikt nie zaprzeczy, że mu się to znakomicie powiodło. Chociaż wiele innych prac jego wyszło w różnych rodzajach — głównie wszakże wpływ swój oparł na formie powieściowéj, jako najlepiéj przemawiającéj do ogółu i jako na formie naszemu wiekowi właściwéj. W powieściach tych wszystkie niemal kwestye społeczne, w miarę jak je kraj odczuwał, są ujęte i przedstawione — i dla tego tworzą one historyę żywą naszych walk, trudów i zajęć, tak — że nawet chwila, gdy filozofia niemiecka głównie umysły zaprzątała, odbija się n. p. *w Tomku Prawdzicu.* Nie tracą one interesu i dzisiaj, gdyż większa część tych zagadnień pozostała nierozwiązaną i do téj chwili wyrabia się w łonie naszem. Od r. 1831 do 1871 można w nich także odczytać historyę smaku i pojęć naszych — wszystkich zadań społecznych i obyczajów.

Jakkolwiek niektóre z powieści J. I. Kraszewskiego rozeszły się w dwóch i trzech wydaniach, są one jeszcze mało znane szerszym kołom, bo najpierw były bardzo drogie, a powtóre nigdy ich nie odbijano w znaczniejszéj liczbie egzemplarzy — i dziś stały się tak rzadkiemi, że ich nawet w handlu antykwarskim znaleść nie można. Śmiało zaś zaręczyć możemy, że znaczna ich część będzie w Galicyi i W. Ks. Poznańskiem prawdziwą nowością. Drukowano je w Wilnie, Warszawie, Petersburgu, Poznaniu, Lwowie, Krakowie i wielu innych miastach, skutkiem czego rozchodziły się głównie w pewnych prowincyach tylko, stósownie do ogniska, z którego płynęły. Dziś podajemy je w bardzo pięknéj i taniéj edycyi zbiorowéj, ufając, że prace pisarza tak znakomitego i myśliciela głębokiego, znajdować się będą odtąd w każdéj polskiéj rodzinie.

Powieści J. I. Kraszewskiego dzielimy na dwa okresy. Pierwszy sięga od r. 1831 do 1862, a dzieła, które w nim wyszły, są już prawie wszystkie wyczerpane; okres drugi następuje po r. 1863. Publikacyę rozpoczynamy od okresu Igo, i dopiero po wydaniu wszystkich powieści ogłoszonych drukiem po r. 1862 — przystąpimy do okresu IIgo.

Gdy przed pół rokiem pisma krajowe doniosły o gotującem się wydaniu powieści J. I. Kraszewskiego, otrzymaliśmy w przeciągu kilku tygodni z saméj Galicyi przeszło 500 listów z serdecznem staropolskiem: „Szczęść Boże!" Ośmieleni takiem przyjęciem, rozpisujemy z dniem dzisiejszym przedpłatę, prosząc wszystkich przyjaciół piśmiennictwa narodowego, aby wedle sił wesprzeć nas raczyli. Szczególnie zwracamy się do naszych Pań, od których poparcia zależy u nas powodzenie każdéj pracy literackiéj, aby przyczyniły się do utrzymania publikacyi utworów pisarza, który od lat 40 czci i podnosi serce kobiety.

Z naszéj strony ręczymy za wydanie bardzo staranne i dopełnienie wszytkich warunków, jakie przyjęliśmy na siebie. Publikacyę rozpoczynamy od *Dwóch Światów*. Potem nastąpią: *Chata za wsią; Poeta i Świat; Latarnia czarnoksięska; Stary sługa; Historya o bladéj dziewczynie z pod Ostréj Bramy; Całe życie biedna; Ulana; Pamiętniki nieznajomego; Budnik; Ostatni z Siekierzyńskich; Ostrożnie z ogniem; Komedyanci; Dziwadła; Ładowa Pieczara; Złote jabłko; Interesa familijne; Djabeł; Powieść bez tytułu; Jermoła; Zygmuntowskie czasy; Kordecki; Milion posagu; Ostatni z książąt Słuckich; Żacy krakowscy i t. d.*

Lwów, we Wrześniu 1871 r.

Wydawcy.

Przedpłata w W. Ks. Poznańskiem wynosi:
Rocznie 8 tal., półrocznie 4 tal., ćwierćrocznie 2 tal.

Dla abonujących Sobótkę po cenie zniżonéj:
Rocznie 6 tal. 10 sgr., półrocznie 3 tal. 5 sgr., ćwierćrocznie 1 tal. 17 sgr. 6 fen.

Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie — skład główny w W. Ks. Poznańskiém i Prusach w księgarni **M. Leitgebra i Spółki.**

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).